

Tygodnik

4 Lipca — 27. — 1818.

Jak Publiczność nauczać niech się mędrzec sili,
My rodaków rozerwać chcemy w nudów chwili;
Podawszy sobie ręce pracujem w śród zgody,
Darujcie gdy gdzie zbłądzim, bo każdy z nas młody.

DZIEŃ w KRZESZOWICACH.

Blisko miasta Krakusa, co z trzech Władców zgody
W szczupłym obwodzie słodkiej używa swobody,
W śród okolicy, w której zatarł ślad po wojnie
Dar natury i kilka lat zeszłych spokojnie,
Gdzie woda przez pomocne sącząca się siarki,
Odejmując choroby przedłuża nić Parki,

Gdzie piękność położenia, wesołość mięszkańców,
Poetę ciągnie w skały, młodego do tańców, (1)
W czystem miejscu, co prędzej liczy niż doktory,
Gdzie zdrowy szuka zabaw, zdrowia szuka chory,
Tam leżą Krzeszowice. Czyjeż odda pióro,
Wdzięk którym to ustronie ozdabiasz naturo?
Tu strumień rozhukany tamami ujęty,
Odmieniając się w różne kaskady i skręty,
Przeżyna gaj sadzony zręczną sztuki dłonią,
Którego gęste cienie od upału bronią.
W gaju się błędnych ścieszek krzyżuje tysiące,
Widać ładne kijoski, altanki chłodzące,
Tu wśród drzew, oku chatka odsłania się większa,
Którą brzozie odarte odzienie upiększa,
W samym końcu przechadzki ścięte w bliskim lesie
Jedno drzewo nas z brzegu na drugi brzeg niesie. (2)

Patrz na tego rybaka co siedzi wysoko
Na urywku tej skały, długo męczy oko
Nim zdradną jego wędkę pręt wyciągnie gibki,
Nim ukarze łakomość uwiedzionej rybki.
Ta rzeka co się teraz mile mu uśmiécha,
Nie zawsze była równie spokojna i cicha,
Człowiek, co umiał łączyć korzystne z wesołem,
Część jéj sprowadził górą, drugą spuścił dołem,

---

(1) W Krzeszowicach w czasie kąpieli, bywają co niedziela bale na które zjeżdzają się z Krakowa i innych okolic.

---

(2) Most był kobłąkowaty, z jednego drzewa zrobiony. Zniosła go powódź przed dwoma laty.

Z drzew i skał bystrej wodzie dał silny hamulec,
Musiała mu usłużyć i rozkazom ulec.
Co śmiałość rozpoczęła, dokonała praca;
W szczupłe łoże ujęta, teraz młyn obraca
Ta woda, której dawniej niewstrzymana siła,
Grunt rwała, drzewa niosła, i skały waliła.

Ale pójdźmy zobaczyć jej najpierwsze zdroje,
Jak sączą z pod kamieni czyste wody swoje,
Jak pieszczonemi ścieki liżąc piasek miałki,
Przedzierają się między kamyki i skałki,
Jak z wolna rozszerzając strumień jeszcze wązki,
Z schylonemi ku sobie pieszczą się gałązki.

Pod zacieniem tych drzewin, w miłym latu chłodzie
Kąpie się stado kaczek w przezroczystej wodzie,
I zachęca nas swoim wzorem do pływania,
Tu się jedna zanurza, druga ją przegania,
Tamta płucze skrzydełka, inna myje piórka,
Lecz idźmy wyżej, więcej ujrzemy z pagórka.

Świadki wielkości Polski! witajcie Karpaty!
W jak przyjemne wspomnienia widok wasz bogaty,
Smutnie się ku ojczystej obracacie ziemi,
I wy czujecie, żeście w przód były Polskiemi.
Widzę, jak się od słońca wierzchy wasze świécą,
Czemuż dziś, tylko oku jesteście granicą?

Bliżej tu, leżą zamku zwaliska wspaniałe,
I do koła gruzami zakrywają skałę.
Dawniej przed wojną strzegła tych basztów opieka,
Czem są dziś?... Ten los ludzi i dzieła ich czeka,

Może nie jeden swojej ojczyzny obrońca,
Najpierwszy raz w tych murach ujrzał światło słońca,
Może tu miłość Polski wyssawszy wraz z mlékiem,
Tu naprzód przywdział zbroję, i był wojownikiem.

I ty! którego imie tym murom zostało!
Tęczyński! byłbyś kraju obroną i chwałą,
I z męztwa i z urody przed innemiś słynął,
Czemuż, gdy miałeś zginąć, za krajeś nie zginął?

Był w lesie parów dokąd ściekały strumienie,
Tam dzikie zwierza w upał pędziło pragnienie,
Tam do łowów ochoczy, biegł Tęczyński śmiały,
Wszystkie knieje i wszystkie zwierza przed nim drżały,
Lecz razem drżała matka, któręj czuła dusza
Każdą się niepewnością przeraża i wzrusza.
Jednego miała syna, w nim nadzieję całą,
W jego się szczęściu szczęście matki zamykało,
O! jak była wesołą, gdy skończywszy łowy,
Syn wracał ze zdobyczą i gdy wracał zdrowy,
Przestrzegała go czule, ale w nim przemaga
Wielką wada Polaków zbyteczna odwaga.

Raz z nim wyszło na łowy towarzyszów grono,
Rozbiegli się giermkowie, psiarnią wypuszczono,
Psów wycie, rżenie koni rozległo się w lesie,
Każdy biegnie w trop zwierza, gdzie go oko niesie,
Tęczyński stanowisko wziął w ciemnym parowie,
I dzień i słońce, było już w drogi połowie,
Siadł przy wodzie, i mocne pragnienie uśmierza,
Na nadejście pewnego oczekując zwierza.

W tem między zaroślami słyszy szmer z daleka,
Spostrzega jak przez krzaki odyniec ucieka,
Jak spłoszony psów zgrają i przeszyty grotem,
Jak wiatr leci i drzewa przewala z łoskotem.
Wstał Tęczyński, i z mieczem na niego się rzucił,
Lecz dzik kłami go przebódł, na ziemię wywrócił,
A tratując nogami, mimo odpór dzielny,
Przygnębił i z wściekłością zadał raz śmiertelny.
Na jęk konającego z wszystkich stron pośpiesza,
Towarzyszów i giermków rozbiegniona rzesza,
Widok śmierci ich wodza serce im przenika,
Wpadają wszyscy razem na strasznego dzika,
Tysiąc ran ciężkich w jednej zadali mu chwili,
I zczernioną posoką tłustą ziemię zmyli.

Już wieczór siał mrok szary na przestrzenie ziemi,
Gdy matka Tęczyńskiego przeczućmi smutnemi
Dręczona, siadła w oknie, a słodząc cierpienia,
I niosąc ulgę smutkom przez łzy i westchnienia,
Po całej okolicy spojrzeniem ścigała,
Ziemię o powrót syna pytać się zdawała.
Z wzrastającą ciemnością i bojaźń jej rosła;
Naprzeciw syna z zamku wyprawuje posła,
Syn nie wraca! drugiego natychmiast wysyła,
Syn nie wraca! co chwila więcej smutną była.
W tym widzi, jak giermkowie w śród nocnej pomroki,
Na uplocie z gałęzi niosą czyjeś zwłoki;
Dymiącej się pochodni światło migające,
Zaledwie słabo tylko ich oświecające,

Ten widok okropniejszym czyniło widokiem.
Nachyleni i smutni idąc wolnym krokiem
Zbliżali się do zamku. Matka ich spostrzegła,
Zwłoki syna poznała, w rospaczy wybiegła,
Rzuciła się na ciało, zmięszana, pobladła,
Przycisnęła do łona, i bez zmysłów padła.

Lecz malować żal matki daremnie się kuszę,
Dla wydania jej czucia, trzeba mieć jej duszę.

Zgon syna wieczną serce boleścią zakrwawił,
Pozbawiając ją szczęścia, i zmysłów pozbawił.
Tak schła w ustawnym żalu jak w żarze roślina,
„Nie przychodźcie mię cieszyć, utraciłam syna,
„Wróćcie, wróćcie mi syna" z rospaczą mówiła,
I po stopniach zgryzoty wolno w grób schodziła.

W świrkowym lesie drogą umieszcza mogiłę,
Tam było jej zwyczajne, tam miejsce jej miłe.
Klęcząc przy grobie syna, łzami go zlewała,
Tam ciągle dni i noce w modlitwach spędzała.
Nieoparło się ciało tylu cierpień sile,
Tak znalazła mogiłę na syna mogile.

Pełen tych smutnych uczuć zostać tu niemogę,
Powierzę błędnej scieszce dalszą moją drogę,
Zejdę z tego pagórka; po każdém stopieniu
Wzrok coraz inny obraz widzi w przyrodzeniu,
Tu spostrzegam rozsiane wieśniaków mięszkania,
Tu dalszy widok oczom czarny las zasłania,

Tam

Tam kaskada po skałach szybko spadająca
Zapienia się i w pędzie kamienie roztrąca;
Cichy strumyk co z wolna nitkę wody sączy,
Spotyka ją przy górze, z jej falą się łączy,
I szerszej rzece idzie nieść wody w daninie,
Ginie on w jej korycie, ona w morzu zginie.
W zwierciadłach wody, niebo przegląda się całe,
I gniazdek opiekunki olsze wybujałe.
Owdzie błyszczy na polu pszenicy kłos złoty,
Tutaj po górach tkane wieszają się płoty.
Tam niedbalsza natura, skał wierzchołek łysy,
I świrki nam odkrywa i gdzie niegdzie cisy.
Dalej na czarnej górze widzę mur klasztoru, (3)
Przywabia mię do siebie świętość jego boru.
Jak lube rozmyślaniu, to ciemne zacisze!
Każde moje stąpanie powtórzone słyszę,
Ten odgłos nadzwyczajną trwogą mię przeraża.

Idę dalej, spostrzegam ponurość cmentarza,
Te straszne słowa czytać dają mi się wszędzie:
„Śmiertelny! prędzej, później, tu twój koniec będzie,
„Czyś ziemię pługiem orał, czyś błyszczał w koronie;
„Śmierć gładzi różność stanów, niemasz ich po zgonie."

Na poziomych grobowcach porastał chwast dziki,
Zgięły się powsadzane spróchniałe krzyżyki.
Wszędzie spostrzegać możem zeszłych wieków rysy.
Jak wzruszają te skromne na głazach napisy!

(3) Klasztór w Czerny, w małej wioseczce między skałami, o ćwierć mili od Krzeszowic.

Jak wymowny ten widok choć się zdaje niemy!
Za każdym krokiem skrytą mogiłę depczemy,
Może dziś jeszcze naszą pomieszczą w tym rzędzie,
Może kiedyś przechodzień deptać po niej będzie.
Nieśmiertelności! w tedyś prawdziwą potrzebą,
Gdy siedząc na grobowcu spoglądamy w niebo.

Niżej cmentarza widać blisko łąki chmielnik,
Tu sprawiał swoje pole przed laty pustelnik,
Pokarmem jego były owoce i nabiał,
I ryby które zręcznie do więcierza zwabiał.
Jeszcze daje się widzieć rozwalona chata,
W niej wyrzekłszy się uciech i marności świata
Sam mięszkał, tylko żałość mu towarzyszyła,
Może go szczęście, może kochanka zdradziła,
Tu powoli przywykał o bogactwa niestać,
Obchodzić się bez ludzi, na pracy rąk przestać.

Z tego miejsca najlepiej widzę klasztór cały,
I ten most marmurowy co spaja dwie skały,
Mimo ciężar w powietrze wznoszą go wysoko,
Te arkady kamienne, co już są opoką.
Jakże one podobne do człowieka chwały,
Ulegną sile wieków, choć wieki przetrwały,
Już je ziele porasta, już je mech powleka,
Tak to czas, kładzie skazy na chwałę człowieka.

Wejdę na most, jak mocnem przejmuje wzruszeniem
Słyszeć szum drzew, z huczącym pod sobą strumieniem.
Z każdym krokiem drży całe sklepienie kamienne;
Lecz widok z mostu wzbudza uczucia odmienne,

Widzę kraj jaśniejący słoneczną ozdobą,
Widzę zamki, wsie, pola i lasy przed sobą.
Im bardziej oddalone bardziej się zmniejszają,
Dwie ściany gór po bokach widok zamykają.

Tej żyznej okolicy natura wspaniała
Bogactwa powierzchowne i wewnętrzne dała;
Tu czystego ołowiu wskazują się żyły,
Kamiennych węgli łoża, i galmanów bryły,
Dalej porfir rodzimy oko nasze ściąga,
Co w słupach piramidnych z wieków się urąga,
Tam marmur różno-farbny dłuta jeszcze czeka,
Dziś martwy, ożyć może na rozkaz człowieka.

Powróćmy do Krzeszowic. Tam ujrzeć możemy
Jak ludzka ręka kształci głaz ciężki i niemy,
Jak w odmienne postaci wprawny dłut rzeźbiarza,
Jednakie dawniej bryły zmienia i przetwarza,
Jak różny z nich każdemu wskazuje użytek
Pobożność, przywiązanie, potrzeba lub zbytek.

Cóż to za zgiełk to ciche ożywia ustronie?
Słychać turkot pojazdów, słychać rżące konie,
Ze wszystkich stron przybywa coraz więcej gości.
Po tych strojnych kobietach, tej żywej radości,
Po tych uprzejmych uczuć i serca wylaniach,
Po tych wesołych żartach, czułych przywitaniach,
Zdawałoby się komu, że to czarów siła,
W słodkich uciech przybytek kąpiele zmieniła.

Nadszedł wieczór, już niebo obsypały gwiazdy,
Zajeżdżają porządnie przed pałac pojazdy,

Idźmy gdzie nas wesołość i muzyka wzywa,
Gotuje się do tańca młodzież niecierpliwa,
Mnóstwo świateł zabłysło w pałacowej sali,
Cisną się zewsząd goście, a ledwo znak dali,
Poważny Polski taniec zaczęto wspaniale,
I poważnie szerokie przechodzono sale.
Sławniejszych królów wiszą obrazy na ścianie,
Twój potężny Batory i zwycięski Janie,
Ze czcią wasze imiona Polacy czytają,
I z dumą je następcom w dziedzictwie oddają.

Przerwał się Polski taniec, ucichła kapela,
Do różnych sal i tańców młodzież się rozdziela,
Najżywszą wesołością błyszczą wszystkich oczy,
To jedni wywijają mazurek ochoczy,
To drudzy w zwrotnych kołach krążą po salonie,
To znowu w najdobrańszych taneczników gronie,
Nadsekwańskie się skoki zaczynają sztuczne,
To z radośnemi śpiewy Krakowiaki huczne.

Ci tańczą, ci się patrzą, a wszyscy weseli,
Nawet chorzy na chwilę chorób zapomnieli.
Już poranek wśród tańców przywitała sala,
A jeszcze się z niej każdy z niechęcią oddala.

Krzeszowice! powabny i luby pobycie,
Co równie wracasz zdrowie, jak umilasz życie,
Zawsze pamiątka twoja jest dla mnie wesoła,
Bo nigdy wspomnień serca nie zatrzeć nie zdoła.

*

ULECZENIE.

Są na świecie takie kobiéty, które chcą być kochane z całym zapałem namiętności. Dawaj im dowody najstalszego przywiązania, ponoś dla nich niezliczone ofiary, ale spokojnie, nie będą ci nawet wdzięcznemi. Ale trać rozum, jeśli chwilę każą czekać na siebie, jeśli najmniejsza napadnie je słabość, jeśli przyjacielskiém okiem spojrzą na kogo, dręcz sam siebie, dręcz je ciągłą zazdrością, a gdy się przekonasz o zawsze stałem dla ciebie ich przywjązaniu, okazuj im na ów czas najżywszą radość zachwycającego cię szczęścia, tym sposobem zajmiesz ich umysł, i tém samem na zawsze przywiążesz do siebie.

Do rzędu takich kobiét można było liczyć młodą i powabną Radczynię Julję. Nie mogła taić przed sobą ile rozumu, nauki i przyjemności posiadał jéj mąż, ale związek z nim, udzielał jéj szczęścia zbyt jednostajnego, bo miłość jego była rozsądna i spokojna. Żywość jéj charakteru wymagała ciągłego zajęcia umysłu, i mimo nieskażonéj duszy, czczość którą w sercu czuła, mogła się stać tym dla niéj niebezpieczniejszą, że w bliskości jéj znajdowała się osoba, która chciała i mogła ją uwieść.

Był to młody Kapitan, nazywał się Wincenty. Po skończonéj wojnie przyjechał przepędzić kilka tygodni przy Panu Radcy bliskim swoim krewnym.

Wincenty jak inni Oficerowie dobrze wychowani nabył w wojsku wszystkich przymiotów ujmu-

jących serce kobiéce. Przy miłéj twarzy, miał przyjemną postać, zalety dowcipu i wiele wiadomości.

W krótkim czasie wkradło się między Julją i Wincentym ciche porozumienie, które ich co dzień do większéj prowadziło poufałości. Nie dorozumiewał się niczego Radca w natłoku zatrudnień, w nieograniczoném zaufaniu w Julji, i w spokojném przekonaniu własnéj wartości.

Nienajmilszem było dla naszych kochanków towarzystwo Pułkownika brata Radcy, który korzystając z urlopu równie jak Wincenty, przybył odwiedzić familją.

Liczne i osobliwe przypadki dały mu wielką znajomość ludzi, i łatwe poznanie skłonności wzajemnych. Przy spokojniejszéj krwi mógł pilniéj i baczniéj tajemnic dostrzegać, i dla tego za pierwszém spojrzeniem zgadywał najskrytsze stosunki. Udaną obojętnością utaił swoje domysły. W kilka dni przejrzał serce Julji, i tém bardziéj zatrwożył go stan jéj obłąkania, im bardziej był przywiązany do swego brata, i im bardziéj przewidywał złe skutki ztąd wyniknąć mogące.

Chciał zaradzić złemu, i uleczeć bratowę, ale gruntownie na zawsze, a nie jedną chwilę; wiedział bowiem, że podobna choroba tylko powierzchownie leczona, tym niebezpieczniejszą stać się może. Nie powinien był dać poznać Julji, że się jéj skłonności

ku Wincentemu dorozumiéwa, i że tę miłość potępia; inaczéj zapaliłby jéj wyobraźnię, przymusiłby ję przez przeszkody do tajenia się jeszcze ostróżniejszego, i znienawidziłby jéj siebie. Wiedział, że nikt w świecie nie potrafił przez napomnienia i uwagi zwrócić na dobrę drogę kobiéty z niéj zbaczajęcéj, bo serce kobiét podobném jest do łuku, który się tym silniéj gwałtowniéj rozwiera, im z większę mocę był nagięty.

Właśnie siedział Radca przy wieczerzy z żonę i gośćmi swemi, Julja obok Wincentego. Oboje milczeli, ich spojrzenia i słowa zdradzały pomięszanie jakie w bliskości ukochanego przedmiotu, rodzę nie spełnione życzenia. Nie uszło to przenikliwości bacznego Pułkownika, że się ich ręce jak gdyby przypadkiem za każdem poruszeniem dotykały, że szczególniéj na ów czas gdy rozmawiał z bratem, widział te ręce pod stołem, że wtedy, gdy kto raptem do Julji zagadał, twarz jéj płonęła.

W tém niespodzianie przelękło się nasze towarzystwo na odgłos dzwonów, na krzyki zapowiadajęce pożar gwałtowny, na widok ludzi w pomięszaniu biegajęcych po ulicach. -- Paliło się na jednéni przedmieściu. Pobiegli na ratunek oba Oficerowie, gdy tym czasem Radca, sam z żonę w domu swoim pozostał.

Przybiegłszy, byli świadkami równie czułego i przenikajęcego jak strasznego widoku. Zajęł się ogień w domu pewnego rzemieślnika, właśnie wtedy gdy ten z żonę w odległéj części miasta był na zarob-

ku. Dwuletnie swoje dziécię powierzyli pieczy służącéj, która je z przestrachu porzuciła. Już stały schody w płomieniach, gdy nieszczęśliwa para przed dom wróciła, i gdy z góry usłyszano głośny krzyk dziécięcia. W szalonéj rozpaczy rostrąca ojciec gaszących, wyrywa im drabinę, przystawia i leci do okna z którego jeszcze ciągle krzyk słychać było. Tym czasem najokropniejsza niepewność przeraża żonę, widzi płomień buchający z okien pobliskich .... krzyk ustaje ..... męża nie widać. Przejęta najtkliwszem uczuciem ocalenia osób najmilszych w życiu, albo zginienia razem z niemi w płomieniach, przeciska się przez natłok ludzi. Już w pośpiechu pierwsze stopnie drabiny przeleciała, gdy się dał słyszeć radośny odgłos całego ludu. Z dzieckiem na ręku spuszcza się mąż ostróżnie z drabiny. Widzi go żona, zachwycenie ukontentowania pozbawia ją zmysłów, pada na ziemię, ale ją unoszą szczęśliwie na rękach. Bez żadnego przypadku schodzi obrońca; najżywsza radość błyszczy we wszystkich jego rysach, przyciska dziécię do serca i oddala się z żoną zapomniawszy o tém, że w tym dniu cały majątek utracił.

Ugaszono pożar. Wrócił Pułkownik z Wincentym. Opowiadanie ich było przerażające, bo sami byli przerażeni.

Z zapałem i czułością obrócił Pułkownik mowę do brata. -- „Jak zazdroszczę temu rzemieślnikowi, który teraz właśnie cały swój majątek utracił. Bogatszy on jeszcze odemnie. Chętnie dałbym w zamian

wszystko co posiadam, dla dostania tego co on ma, dla dostania żony, któraby za mną w ogień lecieć chciała. Dziś podwójnie uczułem, że mi zbywa na najdroższym skarbie człowieka. - Tyś szczęśliwszy bracie, (dodał) ściskając razem rękę Radcy i Julji - ty posiadasz to dobro, bo nic w świecie nie jest tak wielkiem i tak pięknem, do czegoby dla ciebie żona twoja zdolną nie była."

„Prawdę mówisz - odpowiedział Radca z rozczuleniem - widzę, że znasz moją Julję, gdy czujesz jak z nią jestem szczęśliwy".

To mówiąc uściskał swoją małżonkę z niezwyczajnem wzruszeniem. Julja w milczeniu przytuliła do jego piersi twarz od wstydu płonącą. Wyrzucało jéj sumnienie, że się chciała stać niegodną tak nieograniczonéj męża ufności. Nie udanie ale prawdziwy żal, powodował ją aby nagrodziła najgorętszym uściskiem uścisk męża, który jeszcze nigdy niewydawał się jej tak godnym kochania jak wtedy.

„Pogadajmy jeszcze chwilę z sobą", - odezwał się Pułkownik, i zasiadł się w kąt kanapy, w drugim kącie siedział Wincenty. „Siądź przy naszych przyjaciołach", rzekł Radca do Julji, ale Julja wzdrygała się dopóty, póki jéj mąż, sam w środku nich nie usiadł. Przysunęła sobie potém krzesełko i siadła ze strony Pułkownika. Wincenty był ciągle zamyślony i ponury.

Ogólnie cała familja była przejęta okropnością przypadku dnia tego, i przez to rozmowa do

podobnych zwracała się przedmiotów. Przywodzono sobie na pamięć powieści o sławniejszych pożarach, o dowodach odwagi, stąd o pokazywaniu się duchów; nie przepomniano mówić o przeczuciach, które podobne nieszczęśliwe zdarzenia poprzedzały, o przypadkach nagłych śmierci, krewnych, miłych lub tylko znajomych osób.

Każdy nawet najlepiéj wychowany człowiek, ma niejako skłonność do zabobonów, każdego zajmuje opowiadanie przypadków tego rodzaju, mniéj, więcéj w miarę swego rozsądku lub łatwowierności, i w miarę zdolności opowiadającego. Osoby które najświętsze rzeczy wyśmiewają, i którym się zdaje, że nie wierzą w Boga i nieśmiertelność duszy, wszelako nie bez trwogi przechodzą w nocy koło miejsc, które podanie ludu siedliskiem strachów zrobiło, i tém samém dowodzą lubo mimowolnie, iż są jakieś nadprzyrodzone istoty.

Z całego grona przyjacioł zebranych, zdawało się, że najmniéj powątpiewa o możności pokazywania się duchów spokojny i rozsądny Pułkownik. Radca, człowiek uczony i kochający prawdę, uśmiechał się w milczeniu słysząc brata, który w téj mierze spór wiódł z Wincentym. Ostatni z ogniem dowodził niebytności duchów, przysłuchiwał się jednak z natężoną uwagą wszystkim powieściom o nich, a nienaturalny śmiech którym chciał wyszydzać zabobony, okazywał iż był przeciwnie przekonanym

tém bardziéj im więcéj jego wzrok niepewny i pomieszany, jakaś nadzwyczajna żywość w poruszeniach, i widoczne blednienie w miejscach opowiadania najbardziéj przenikających, zdradzało uczucia jego wewnętrzne.

Czy znałeś Porucznika Stefana w naszym Pułk? spytał się po krótkiéj chwili milczenia Pułkownik, Wincentego.

„ Mało go znałem, - odpowiedział Kapitan - ale domyślam się do czego to zapytanie dąży. - Słyszałem, że podobno umarł z przelęknienia się strachu".

„ Jestem przekonany - rzekł Pułkownik z ironją, że wcale nie jesteś zabobonnym, ale chciałbym wiedzieć, co powiesz na to, co ci teraz o niém opowiem''.

„ Pewno powiem otwarcie, co będę myślał, odpowiedział Kapitan z przyciskiem - Słucham Pułkownika.

(Dokończenie w przyszłym Numerze).

Na poetów nierymowych.

Antoniego Goreckiego.

Wy! co Polskę dziwicie wierszem nierymowym,
Próżno zawiść powstaje przeciw rzeczom nowym,
Prawo z Wami, wyraźnie mówi statut Feba:
„Gdzie sensu niema, i rymów nie trzeba".

LIST

Do Redaktora Tygodnika.

Dzięki oświeceniu dziewietnastego wieku! dzięki niezmordowanej pracy teraźniejszych pisarzy, język nasz nowe coraz robi zdobycia. W ciogu nie spełna jednego roku, przyznane mu zostały: Muzyczność, Metryczność, Klassyczność, Rytmiczność i Romantyczność. Ileż to powodów cieszenia się, ileż widoków dla naszej olbrzymim krokiem postępujocej literatury! Gdyby dziś powstali z grobów swoich Kochanowski, Szymanowski, Krasicki, Dmóchowski i inni, wstydzićby się musieli swoich (tak nazwanych) wierszy, w których oprócz mało teraz cenionych zalet dowcipu i mocy, nic więcej znaleść niemożna. Lecz szanujmy popioły tych czcigodnych mężów, przebaczmy im przez wzgląd na ich dobre chęci, przez wzgląd na ciemnotę wieku, w którym kazało im żyć przeznaczenie. Nie wiedzieli oni, iż język Polski jest Metryczny, Romantyczny i. t. d. a zatem i dzieła ich to niewiadomościo nacechowane być muszo. Przebaczmy im mó-

wię, a sami starajmy się nie już im wyrównać (bo to rzecz mała) ale ich przewyższyć, mając do tego przez nowe odkrycia tak dobrze utorowaną drogę.

Powodowany duchem czasu, przedsiewziąłem wydać na widok publiczny nowe dzieło pod tytułem: O Mistyczności, Lakoniczności i Nowych Icznościach Języka Polskiego.

Dzieło to mam zupełnie gotowe w rękopiśmie, a jeżeli Szanowny Redaktor nie odmówi mi swojej pomocy, w przeciącu jednego miesiąca może wyjść na widok publiczny.

Idzie tu tylko o zebranie suskrypcji. Prożbą jest moją, aby Szanowny Redaktor ogłosiwszy w swem piśmie niniejszy prospekt, zbieranie podpisów na siebie przyjąć raczył.

W tem miejscu muszę się sam pochwalić z moją nie interesownością. Postanowiłem walczyć o wspaniałość z JPanem Świstkiem; bo jeżeli on swój rozum po trzy grosze przedaje, ja moje dzieło, które zdaje mi się że także jest rozumne, darmo Prześwietnej Publiczności ofiarować przedsiewziąłem.

Suskrybenci zatem wolni będą od składania opłaty, lecz muszą się podpisać, i słowem Literackiem zaręczyć, iż dzieło moje całe przeczytają, i że nad nim drzymać nawet poziewać nie będą; to jest warunek sine quo non.

Skoro dziesięć takich podpisów uzyskam, dzieło moje wyjdzie z pod prasy, najpiękniejszym drukiem

i podług najmodniejszej pisowni wybite, a co się także nie jednemu podoba, żadnej przedmowy mieć nie będzie. Szanowny Redaktorze! daruj mojéj śmiałości, że się odważam ciebie zatrudniać mojo odezwo, i prosić o zbieranie podpisów na moje dzieło.

w Lakonicach blisko Mistyczyna.
Dnia 18. Czerwca roku Igo. od odkrycia Iczności języka Polskiego.

(Odpowiedź na ten list umieści się w przyszłym Numerze).

ANEKDOTY.

Przepościwszy sobie dzień cały w Warszawie pewien biédak zawołał: Co za nieporzodne miasto, niema w niem chleba za co kupić.

W pewnem miasteczku wybuchnoł nie dawno pożar. Brakowało narzędzi ogniowych; stało jednakże coś na rynku, o czém z tradycji wiedziano, że za czasów Augusta II. miało być sikawko. Daléjże po tę sikawkę. Jak się można domyśleć, na nic się nie zdała, a kilka domów stało się pastwo płomieni. Na nieszczęście te domy należały do Ławników i Starszych miejskich. Zbiera się nazajutrz Rada w Ratuszu i in pleno stanowi, iż odtod Pan Burmistrz pod osobisto odpowiedzialnościo, pod utrato półrocznéj pensji, obowiozany będzie na 24 godzin przed wszelko nadal wydarzyć się mogoco pogorzelo, sikawkę wyreparować i do użycia zdatno uczynić.

Hiszpanom jak wiadomo nie najlepiéj się powodzi w ujarzmieniu niepodległych Wenezuelli; mimo tego nie przestają ciągle napełniać Gazet przesadzonemi odgłosami niezliczonych tryumfów. Między innemi doniósł świeżo Gabinetowi Madryckiemu Jenerał Morillo, że z oddziałem kilkudziesiąt żołnierzy wpadł na 200 powstańców, zwyciężył, rosproszył i 250 na placu położył.

MODY PARYSKIE.

Brzegi Kapeluszów słomianych rzadko widziéć można garnirowane, noszą ich bardzo wiele, i chociaż nie wszystkie z Włoskiéj słomy, wyrównywają jednak swoją cienkością prawdziwie Włoskim. - Widać także wiele kapeluszy gazowych. -- Po najpierwszych magazynach od dni kilku znajdują się tùlowe wyszywane słomą, - druga nowość nie mniéj znaczna jest ta, iż na brzegach piór białych puszkowych, kołyszą się motylki o skrzydełkach z perłowéj macicy. Najświeższe kapotki z perkalu, mają dna wypukłe. Stępują w zygzag pufy których używają do garnirowania sukien u dołu.

Dwie trzecie części kapeluszy gazowych i krepowych są białe, więcéj jednak wyrabiają takich z gazy niż z krepy. - Do białych słomkowych przypinają na bukiet jedną lub dwie piwońje, lecz bukiéty à la jardinière, do których wchodzą róże, re-

zeda, jasmin, kłosy i kokliko są powszechniejsze. -- Prawie wszystkie kapelusze słomiane noszą bez garnirowania brzegów. Pióra puszkowe dotąd z mody nie wyszły.

S K A.

LOGOGRYF.

W mych ośmiu członkach masz dwie znane rzeki,
Masz to co w nocy nam skleja powieki,
Rzecz do jedzenia, wyraz kierunek znaczący,
Zaimek okazujący.
Agronoma pełnego wiekopomnej sławy,
Żołnierza, co wysadza ziemię bez obawy.
Cały zaś, jeśliś nie jest w obroty wprawiony,
Pewnom dla ciebie nie docieczony.

A. K.

Redaktor Tygodnika przeczytawszy list Pustelnika z Krakowskiego przedmieścia do Redaktora Pamiętnika Warszawskiego, umieszczony w Numerze 7. Pamiętnika na karcie 414. oświadcza swoje zadziwienie, jak może tenże Pustelnik osoba bezimienna, a zatem nie znajoma, przyznawać się i to aż dopiero w 9. tygodni, do pisma cudzego. Przeto Redaktor Tygodnika widzi się znaglonym oświadczyć mu, iż to pismo jest Emanuela Brzostowskiego Kamer-junkra Jego Cesarsko-Królewskiej Mości.